30 gr.

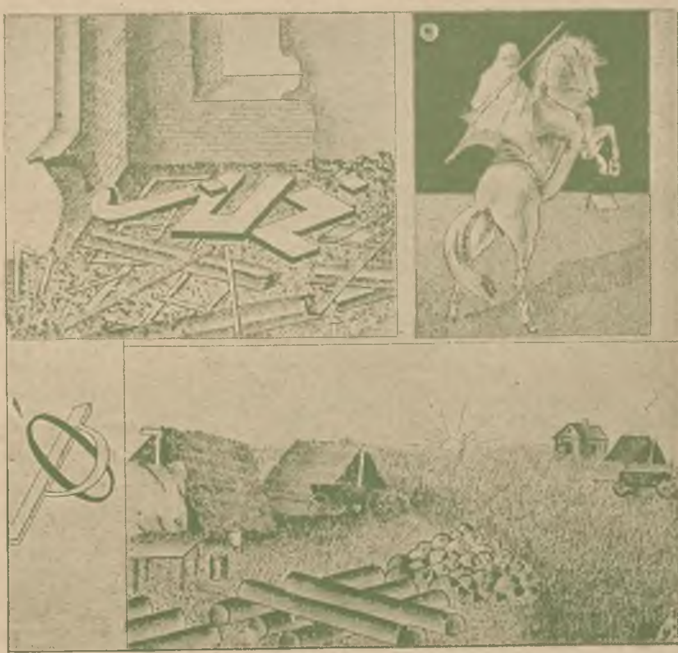
Ilustrowany Tygodnik Polski

Nr. 19 Rok I

-Famulus- -Famulus-



REBUS



Z redakcyjnego biurka

J. Możdżeńskiemu. Zgadzamy się na obliczenie, bo słuszne, a przy tej okazji serdecznie dziękujemy za okazywaną nam życzliwość i rozpowszechnianie pisma. Na takich Przyjaciołach opierając się. pismo nasze szybciej rozwinie się i udoskonali jeszcze bardziej. Prosimy o dalszą pamięć.

Auderskiemu. Chętnie skorzystamy. Prosimy o porozumienie się osobiste z redakcją (między godz. 1-ą a 3-ią).

Cz. Gołębiowskiemu. Oby się tak stało, jak Pan rozwiązuje rebus z nr. 17. Twarde jednak szelmy!...

J. G. Za rozwiązywanie rebusów, szarad i łamigłówek losujemy nagrody w postaci książek. Wkrótce urządzimy konkurs na specjalnych warunkach. Dział ten będziemy rozwijali w myśl życzeń naszych Prenumeratorów. Prosimy o rozpowszechnianie naszego pisma.

W. Płasz... i. Odpowiedź w numerze, który raczy Pan przejrzeć.

Por. Cz. M. w Toruniu. Powieść od początku przesyłamy jednocześnie z numerem. Należy się nam zł. 1, który raczy Szanowny Pan Porucznik wypłacić łaskawie przy regulowaniu prenumeraty.

Anonimowi. Do... Kulparkowa! I to jaknajszybciej, bo stan ostry i, jak widać, chroniczny... Bolszewickie metody nie dla nas!

PP. Profesorom dr. Kazimierzowi i inż. Władysławowi Karaffa-Korbuttom w Wilnie. Fotografję ś. p. Ich Ojca otrzymaliśmy. Materjał nadesłany jako dotyczący naszej martyrologji, z wdzięcznością zamieścimy, dziękując jednocześnie za uczyniony nam zaszczyt.

E. Klar. Pisze nam Pani: „Dziś nadszedł Nr. 16 „Tygodnika!" Niestety, w zaścianku nie wiedzieliśmy o nim, a do takiego pisma tęsknimy. Przypomina te czasy, gdy pisma bez głębokiego dekolta i pornografji święciły triumf, jak np. „Dziennik Literacki" we Lwowie, stare warszawskie „Kłosy", Bartoszewicza „Przegląd artystyczno-literacki", Sabowskiego „Dziennik mód" i inne".

Dumni jesteśmy z tego porównania. Tak nam bardzo o to chodzi, by ugruntować na łamach naszych szlachetny i czysty ton polski bez naleciałości powojennych.

Ze współpracy skorzystamy jak najchętniej.

K. Gilewiczowi w Inowrocławiu. Chętnie korzystalibyśmy z nadesłanych rzeczy, lecz honorarjum nasze wynosi połowę sumy proponowanej. O ile warunki nasze byłyby zaakceptowane. możemy rozpocząć współpracę natychmiast.

Lenie Przybylskiej w Łodzi. Dziękujemy. Skorzystamy, kwadrat magiczny zajmujący.

ROZWIĄZANIE REBUSA Z N-ru 17

Grosz drogi, jak go brak.

Nagrody przez losowanie otrzymali:

1) M. Mańkowski w Chodzieży, 2) St. Kopczyński w Lublinie, 3) P. Kowalski w Warszawie, 4) J. Pelczyński w Łomży, 5) B. Miller w Mińsku Maz.

KWADRAT MAGICZNY

(Ułożyła Lena Przybylska)

A — D

0	1	2	3	4
5	6	7	8	9
10	11	12	13	14
15	16	17	18	19
20	21	22	23	24

C — B

lub:

1	2	3	4	5
6	7	8	9	10
11	12	0	13	14
15	16	17	18	19
20	21	22	23	24

„0" pozostaje na miejscu w środku kwadratu

Znajdujące się w tym kwadracie 25 liczb od 0 do 24 poprzestawiać tak, aby suma liczb każdego rzędu poziomego i pionowego oraz poprzecznych A B i C D wynosiła zawsze tę samą liczbę 60.

SZARADA Nr. 2

Ułożyła E. K.)

Pierwsze to z trzech liter głoska,
Drugie w okrętach i łodzi,
Trzecie ma melodja boska,
A i u ludzi rej wodzi.
Całość to autor... Niedawno
Pisano, jak twórczość ma sławną.

Wśród książek

St. W. Orski.. A było to wczas rano. Ilustracje K. Sichulskiego. Nakładem Ossolineum.

Myśliwska literatura nasza wzbogacona została o jeszcze jeden wartościowy zbiorek wrażeń z pod znaku św. Huberta, w którym piękne opisy natury zainteresować mogą nie tylko nemrodów, ale każdego, kogo przyroda Wschodniej Małopolski — Karpat i Huculszczyzny — nęcić może. Książka, napisana z dużym talentem, pięknie ilustrowana jest przez znakomitego Sietrulskiego.

Opłata pocztowa ryczałtem 19—26 czerwca 1927 r. Cena 30 gr.

Ilustrowany Tygodnik Polski

CENA PRENUMERATY:

Miesięcznie	Zł. 1.—
Kwartalnie	„ 3.—
Półrocznie	„ 6.—
Rocznie	„ 12.—

REDAKCJA I ADMINISTRACJA:
Warszawa, Miodowa 5, tel. 28-33 i 2-96
Administracja czynna od godziny 9-ej do 4-ej p. p. Redakcja czynna od 10 do 4-ej p. p. Redaktor przyjmuje od godz. 1-ej do 3-ej p. p. Rękopisów nedesłanych Redakcja nie zwraca. Redaktor działu propagandy i reklamy I. K. Librach przyjmuje od 9-10.
Konto P.K.O. Nr. 14315 Konto P.K.O. Nr. 14315

DLA PRENUMERATORÓW CO TYDZIEŃ BEZPŁATNY DODATEK POWIEŚCIOWY I NAGRODY ZA ROZWIĄZANIE ZADAŃ.

Rok I. Warszawa - Kraków - Lwów - Poznań - Wilno - Łódź - Gdańsk Nr. 19.

Kartki z raptularza

Za dużo fet... Sarkają ludziska... Nie podoba się wielu to ciągłe fetowanie swoich i obcych przy lada okazji.

I Bogiem a prawdą, trochę racji w tem jest. Okropnie lubimy huczek i gwarek, a jeżeli jeszcze można kilka mówek palnąć i kieliszek uroczyście wychylić, to my na to, jak na lato.

Lubimy się sadzić. I co, jak co, ale uroczystości parady umiemy organizować konkursowo, lepiej, niż wszelkie inne sprawy życia publicznego. Nie brak nam i pomysłów, i inwencji, i rąk, chętnych do pracy, i głów do obmyślania pompy, by wypadła jaknajokazalej.

I dobrzeby to było i nie tak raziło, gdyby nie pociągało wielkich wydatków oprócz marnowania energji ludzkiej na występy próżnej pychy ludzkiej.

A przecież tyle jest jeszcze do zrobienia. Tyle niedoli i łez do otarcia...

Każdy jest wielki... Skoro mówimy o podejmowaniu różnych naszych gości, nie możemy ustrzec się od jeszcze jednej uwagi.

Każdy, kto do nas zawita, jest jednakowo wielki. Zaraz dokoła jego osoby powstaje taki harmider generalny, że społeczeństwo całkowicie zatraca miarę, kto i co wart?

Przyjechała wielka znakomitość:

— Wielka pompa!

Przyjechał sekretarz wielkiej znakomitości:

— Wielka pompa!

I zawsze taki sam huczek, taki sam podziw, takie same ustosunkowanie się bez zachowania odpowiedniej miary, należnej rozmaitom stopniom hierarchji i znaczenia publicznego.

I co przykre, to właśnie to, że my na tem źle wychodzimy, wystawiając sobie niezbyt pochlebne świadectwo w oczach podejmowanych gości, którzy przecież odczuwać muszą, że jednakie splendory nie każdemu z nich są należne. Nie wypada, aby tak przy każdej okazji podejmowania cudzoziemca zachłysnąć się zaraz z radości.

Niestety, grzeszą nawet pod tym względem niejednokrotnie te czynniki polskie, które winny mieć przedewszystkiem miarkę gościnności oficjalnej w ręku.

A cóż dopiero mówić o przeciętnym obywatelu?

I prowadzi to często do „curiosów". Jak naprzykład z pobytu „słodkiej" (w filmach każda jest „słodka" albo „szampańska") Mary Pickford w Warszawie, co odurzona warjackiemi hołdami nie zawahała się opowiadać po powrocie do Ameryki, jak to syn Prezydenta Rzeczypospolitej w mundurze oficerskim pełnił honorową wartę u drzwi, wiodących do jej pokojów w hotelu.

Będzie pogoda czy nie będzie pogody?... Taką zagadkę probuje rozwiązać niejeden, budząc się rankiem i patrząc w zamglone niebo.

I wróży sobie, i do Pima zagląda, i innych pyta, a tu jak nic, tak nic...

Wiosna nalały nam wody za kołnierz i kazała dzwonić zębami przez cały maj.

Lato również kropić nas nie przestaje, a słońce uśmiecha się do nas, lecz za chmurami, więc trudno wdzięcznie uśmiechać się do niego. Czerwiec na schyłku, i nic nie lepiej.

Podobno lipiec ma nas uraczyć swoim rajem... Obyż nie tak, jak maj i czerwiec!

Manja na pensjonaty.... Do szeregu nagminnie grasujących chorób przybyła nowa, wszechwładnie dominująca w obecnym sezonie letnim.

Jest to manja zakładania pensjonatów w miejscowościach kuracyjnych i na letniskach. I powstało ich tyle, że, podobno, w niektórych miejscowościach jest ich więcej, niż kuracjuszów lub szukających wypoczynku w ciszy wiejskiej.



W takich warunkach na czem pensjonaty owe pragną zrobić interes?

Oczywiście, na zdrowiu i żołądkach tych nieszczęsnych ofiar, które skuszone obietnicami obfitego i wykwintnego pokarmu oddadzą się im w niewolę na czas lata.

Że tym i owym udało się na prowadzeniu pensjonatów uczciwie i gospodarnie zarobić pieniądze, to jeszcze nie dowód, aby każdy, kto żyw, imał się tego zajęcia, polując na bliźnich, jak myśliwy na polowaniu.

Famulus.

Drogowskazy wieszcza

Polska najnieszczęśliwsza! Zapomniawszy o misji, którą dawniej na świecie pełniła, zaczęła być naśladowniczką francuskich idei. We własnym zaś duchu twórczość swoją postawiła pod ideałem kolorowego ułana...
(Juljusz Słowacki: Do emigracji. O potrzebie idei).

Dnia 25 czerwca b. r. społeczeństwo polskie będzie przeżywało niezwykle podniosłą chwilę. Przypłyną z Paryża na parowcu polskim i zostaną złożone w grobowcach Wawelu obok królów polskich, prochy Juljusza Słowackiego.

Ten uroczysty moment dziejowy powinien przypomnieć wszem wobec i każdemu zosobna o obowiązkach państwa i narodu względem wielkiego Ducha.

Najpotężniejsza nawet armja, największy rozwój przemysłu i handlu, o ile bez ducha są, nie dają gwarancji, rękojmi trwałego, długowiecznego istnienia.

Prawdy tej świadom był naród nasz już od wieków, to stając murem w obronie chrześcijaństwa, to znów pod znakiem orłów legjonowych walcząc o wolność i braterstwo ludów.

Do najwyższej atoli, wprost zawrotnej, szalonej potęgi to poczucie energji duchowej, utajonej w narodzie polskim, dochodzi w osobach trzech wieszczów naszych: Mickiewicza, Krasińskiego i Słowackiego.

Słowackiemu nie wystarcza już samo stanowisko obronne Polski, nie tylko obroną ducha ma być ojczyzna ubóstwiana, ale w imię tego ducha dążyć do podboju świata.

Dla Anglji — morze, dla Rosji — ziemia, dla Polski, że tak powiemy — niebo realne, ta „matka czynów, któraby w niebo prowadząc ku celom ostatecznym, roziskrzała pył drogi, po której stąpa, a człowiekowi nie hołdując żadnemu, wszystkich podniesionych w kraj ten zaprowadziła.

Gdy pisze te słowa Słowacki, już jest mężem dojrzałym, nie buja po obłokach. On tę służbę idei chce związać ze wszelką, najbardziej nawet pospolitą funkcją społeczną.

„Idei — pisze — każdy człowiek służyć może, jeżeli jest jedna i najwyższa! Powtarzam! tak jak Anglja, która rośnie dziś każdym zegarmistrzem, krawcem i każdym kredytem kupca i każdym majtkiem i każdym ministrem, a człowiekowi żadnemu nie oddaje całkowicie ducha swego, ale idei".

I w tem, właśnie, uduchowieniu, w tem opromienieniu ideą najszlachetniejszej formy walki o byt, ideą, powiedziałbym, artystycznego współzawodnictwa wszelkiego rzemiosła i wszelkiej produkcji i wszelkich ustrojów państwowo-samorządowych.

Nie bądź więc pawiem i papugą narodów, nie rób tak, jak Anglik, Francuz, Niemiec, Rosjanin, ale rób lepiej, daj świadectwo tej wolności ducha ludzkiego, która jest najwyższą ostoją duszy polskiej.

I to jest pierwsza i najgłówniejsza drogowskazowa myśl Słowackiego.

Uduchowić życie, prześwietlić rzemiosło, przemysł, handel ideą szczytnego patrjotyzmu.

Patrjotyzmu wprost nadprzyrodzonego, anielskiego, patrjotyzmu takiego z wysokości między wysokościami, o którym w naszych czasach mówić i ciężko, i boleśnie, i wstyd.

Ubóstwienie Polski staje się niezbędnym warunkiem jej życia i rozwoju.

Ale to ubóstwienie wymaga jednej rzeczy, napozór zupełnie prostej, ale z powodu swej absolutnej bezwzględności dla wielu może niedostępnej, a przez to tragicznej.

Wymaga tego, abyśmy każdą myśl naszą, każde serca drgnienie poświęcali Polsce, jej szczęściu, chwale i potędze.

Biada, kto daje ojczyźnie pół duszy,
A drugie tu pół dla szczęścia zachowa,
Oboje w nim Bóg swym piorunem skruszy
I padnie kiedyś w popiół taka głowa,
Żadną łzą taki Boga nie poruszy,
W modlitwie nigdy już nie znajdzie słowa,
Któreby kiedyś jego Bóg rozumiał!

Ani piędzi ziemi w granicach państwa, ani drgnienia duszy w dziedzinie ducha!



Taką była dogmatyka tego patrjotyzmu.

W dziedzinie ducha, jak w państwa dziedzinie,
Ni tonu duszy oddać nie masz prawa,
Ni drgnienia serca, wszystko na świątynie
Narodu — oto dusz polskich postawa.

Z rozrzewniającą prostotą i szczerością i z uznaniem swojej winy wobec absolutu ducha narodowego tłumaczy Słowacki ciężki los swój na ziemi i brak miłości i sławy u współczesnych.

„Pierwsze tomy poezyj moich — oświadcza — są bez duszy... Pokazałem się w koturnach teatralnych, jako artysta, ludziom, którzy bynajmniej o artystostwie nie myśleli, ważną i okropną rzeczywistą tragedją zajęci"...

Tę przewinę swoją poeta stara się odpokutować, za wszelką cenę chce sumienie swoje oczyścić.

Uderza w najczystszy ton serca narodowego i przemawia, jako obywatel, ojczyznę swą duchową istotnie budujący.

„Przez osiem lat — wyznaje — każdą chwilę życia mojego wyrywałem roztargnieniom, osobistemu staraniu się o szczęście, abym ją temu jedynie poświęcił celowi, aby poświęcenie moje przydane było do liczby tych większych ofiar, które Polacy na grób ojczyzny składają".

Z powyższego możemy ustalić zasadnicze drogowskazy Słowackiego.

A więc — idee ogólnoludzkie: 1) wiara w niespożytą moc duchową człowieka, kultywowanie tej mocy, jako osobliwsze posłannictwo Polski; 2) w szczególności — uduchowienie najwyższe brutalnej walki o byt drogą szlachetnego współzawodnictwa ludzi wolnych; 3) uznanie nowej władzy absolutnej, opartej o bezgraniczną miłość do narodu.

Co zaś dotyczy życia codziennego, to postawienie sobie czasem w chwilach ciężkich i bolesnych zapytania, czy nie są te chwile zasłużoną może karą za to, że naruszyliśmy sami postulaty ducha narodowego... Abyśmy pamiętali, że, jako skarbnik państwowy, który roztrwoni choćby niewielką cząstkę grosza publicznego, skazan jest, podobnie dziać się winno z tym, kto zmarnuje część bogactw duszy swojej lub bliźniego, która jest idealną własnością narodu.

Jan Bełcikowski.



I sławny ród Firlejów nie pominęła złośliwa fama ludzka, stwarzając pocieszną przymówkę:

Stroi baba Firleje
Kiedy sobie podleje.

Na pierwszy rzut oka przymówka ta jest zgoła niezrozumiała. Komentatorzy historyczni znaleźli tu objaśnienie, iż królowa Bona, będąc na panów Firlejów łaskawa, „kiedy była dobrego humoru“, co łacno przytrafiało się, gdy jeden kielich ponad miarę spełniła, darzyła ich chętnie najrozmaitszemi prezentami, pomiędzy któremi, jak na Włoszkę przystało, nie szczędziła bogatych strojów. by tem paradniej u jej boku występowali. Inny komentator wprawdzie twierdzi, iż powyższe objaśnienie jest „strojeniem firlejów“ z czytelników, bajeczka bowiem, aczkolwiek zmyślna, mało jest prawdopodobna.

Jeśli tak jednak, to cóż znaczy przymówka, albo i inna, która w pieśni ludowej pozostała.

Jestem sobie Firlejówna, Firlejówna z domu,
Księżnom i królewnom równa, cóż do tego komu,
Kochałam się lat czterdzieści, lat czterdzieści zgórą.
Czego świadkiem i zadatkiem listów pełne biuro.

*

Roiło się od wszelakich typów na bruku wielkich stolic świata po każdej nieszczęsnej próbie powstania naszego narodu.

Wśród wielu zasłużonych mężów, o których historja emigracji naszej wdzięcznie wspomina, bywały i typy, wprost nadające się do krotochwili, gdyż trudno było ustrzedz się niejednemu szlachcicowi o rogatej fantazji od postępków śmiesznych i komicznych, tem więcej, że bohaterstwo i miłość ojczyzny są cnotami, które nosić należy z godnością, a nie z teatralną pozą.

Takim był właśnie niejaki Boczko, członek towarzystwa litewskiego i ziem ruskich w Paryżu, przybyły do stolicy Francji po wypadkach 1831 roku.

Pan naczelnik Boczko — opowiada o nim Konstanty Gaszyński — aczkolwiek kutwa, ale że krew polską i szlachecką w żyłach miał, lubił u siebie przyjmować. Nie kosztowne zresztą były to uczty: herbatka z rumem, ciasteczka i niezbędny w owych czasach faraonik, który do stołu przyciągał amatorów hazardu, tem jednak pocieszających się, iż, jeśli się zgrywali, to pieniądze wśród rodaków pozostawały.

Pan Boczko raczył swoich gości przeróżnemi dykteryjkami, w których był wielkim specjalistą, opowiadając im niebywałe zdarzenia. Oto, naprzykład, jedna z nich, którą wszyscy Polacy, wówczas mieszkający w Paryżu, doskonale znali i aczkolwiek pan naczelnik na Mękę Pańską zaklinał się, że wszystko tak było, Gaskon albo Marsylczyk nie powstydziłby się podobnego łgarstwa.

Kilka miesięcy temu — mówił pan naczelnik — a było to w septembrze, pojechałem na wieś do jenerała Lafayette'a. Przyjął mnie serdecznie, jako że stary był to mój przyjaciel, i zasiedliśmy bez ceremonji do stołu.

Ledwo żeśmy pierwszą łyżkę strawy zjeść zdążyli, aż tu zajeżdża sześciokona kareta, a w niej Filip z córkami. Gospodarz ucałował się z królem, mnie przedstawił grzecznie i posadził gości za stołem. Zjedliśmy bez ceremonji doskonałą przerastałą sztukamięs z ogórkiem, pekeflejszu półmisek, tygel zrazów z kaszą radomską, pieczeń huzarską z sałatą, a potem cukrów, wetów i specjałów bez liku.

Gdy po obiedzie przyniesiono kawę, rozwiązał się Filipowi język i bez ceremonji jął prawić o polityce i przywróceniu Polski. Sprytny człowiek. Podobałem mu się niezmiernie i odjeżdżając prosił, żebym bywał u niego.

Odtąd często chodziłem do królewskiego pałacu, tyłami, incognito, aby, broń Boże, cesarz Mikołaj o tem się nie zwiedział. A gdy przyjdę, to fetują mnie, jak księcia. Filipówny rade mi i żartują ze mną, że aż matka trochę dewotka, ale kobieta bardzo przyzwoita musiała je nieraz łajać bez ceremonji.

Jakiego figla mnie wypłatał jednak król, nie spodziewałem się tego po jego przyjaźni. Oto niedawno temu, gdy graliśmy w pikieta i przegrałem do Filipa 20 franków, których mu zapłacić nie mogłem i obiecałem bez ceremonji odnieść za pierwszą okazją, patrzajcie, co ten Filip mi zrobił: nadszedł dzień pierwszy miesiąca, idę po odebranie żołdu, aż kasjer zamiast osiemdziesięciu daje mi tylko sześćdziesiąt franków. Zrazu nie wiedziałem, co to znaczy, aż sobie przypomniałem ten dłużek karciany, który król kazał sobie potrącić. Tak mnie to ubodło, że Filip memu oficerskiemu słowu nie dowierza, że więcej do niego nie poszedłem, choć król nieraz do mnie pisał bardzo grzeczne listy.

Przymówki

Na świętego Jana

(24 czerwca)

Gdy Jan Chrzciciel skropi,
mokre będą kopy...

Gdy święty Jan łąkl rosi,
to chłop siano kosi
suszy, zwozi,
a czasem i z wody wynosi...

Gdy się święty Jan rozczuli,
to go dopiero
Najświętsza Panna utuli...

Jak się święty Jan obwieści,
takich będzie dni czterdzieści...

Święty Jan
niesie jagód dzban,..



Ze starych rycin i dowcipów: — Matusiu, dacie mi rynecką wylizać? — Poczekaj, smarkaczu, wyliżą ci panowie sierżanci dudy!

H. HAWEL

Jak się Rudek płakać nauczył...

Mały Rudek z pod 41 numeru był najgorszym chłopcem na całej ulicy. A zdanie to wiele mówi, albowiem podług opinji pensjonowanego kapitana z pod nr. 39 i 52-letniej panny Amalji sami tylko nicponie ulicę tę zamieszkiwali.

Rudek był sławny w swoim fachu.

Pomiędzy kolegami był autorytetem w każdym rodzaju gry. Rozumie się pomiędzy tymi, którzy jeszcze żadnem zarządzeniem ministerjalnem do szczególnej uwagi zarządom szkół nie byli poleceni.

„Obrzucanie murów" było jego specjalnością i najtęższą stroną w zawodach, ale jak razu pewnego z powodu silnego rzutu cegła na nagniotek pensjonowanego kapitana z pod nr. 39 upadła, miało to bardzo smutne następstwa. Rudek został pochwycony przez kapitana za uszy i wytargany należycie, niby wór grochu. Wszakże, gdy uszy jego zostały uwolnione, a właściciel ich znalazł się po za obrębem ramienia kapitana z pod nr. 39, nasrożył się, jak szpak, a potem śmiał się.

Rudek śmiał się ze wszystkiego. W swoim rodzaju był to najszczęśliwszy łobuz.

Przy jednej ze skomplikowanych gier miał nieszczęście batem po łydce uderzyć pannę Amalję. Panna Amalja z płaczem poszła do emerytowanego radcy policji, starego swego przyjaciela, i oboje udali się do biura policyjnego przedłożyć straszliwą zbrodnię.

— Batem ten nic dobrego uderzył panią po nodze. Mógł przeciąć skórę albo i kość nadwyrężyć — zagaił radca.

— Hm — mruknął komisarz — to się trafia.

— Proszę bardzo o stosowne ukaranie — ciągnął oskarżyciel, i tak nacierał i tak przedstawiał, że w końcu spowodował wezwanie ojca Rudka wraz z synem do komisarjatu.

Tam ostro napomniano ojca do staranniejszego zajęcia się chłopcem i zganiono dotychczasową niedbałość.

Rudek śmiał się z czego pan komisarz przyszedł do smutnego przekonania, iż będzie miał w przyszłości z Rudkiem dużo roboty.

W domu Rudek otrzymał porządną porcję kijów.

Wył i wrzeszczał straszliwie; wreszcie, gdy ojciec po ukończeniu „lekcji wychowania" wyrzucił go za drzwi, potarł sobie grzbiet i śmiał się.

— Nic wcale nie czułem — rzekł do Karolka, który na podwórzu pobożnie słuchał jego krzyku i egzekucji.

„Zacinanie zębów", wzgardliwe „ruszanie ramionami" i t. p. oznaki — były to rzeczy, w których wykonaniu Rudek słynął, jako profesor między kolegami. I w innych podobnych kunsztach celował, śmiejąc się zawsze.

Był najszczęśliwszym z urwisów.

Wszystkie przeciwności przyjmował ze śmiechem. A miał jedynie same przeciwności i niepowodzenia.

Kiedy macocha jego posiadała jeszcze sił trochę, biła go codziennie. Choroba płucna jednak zmogła ją. Stawała się coraz słabsza. Wtedy Rudek otrzymywał tylko chłostę, gdy przypadkiem ojciec wrócił do domu niezupełnie pijany o tyle, że mógł się jeszcze poruszać.

Ale macocha znalazła tańszy i prostszy środek na ukaranie chłopca. Nic mu jeść nie dawała, a że Rudek trzy lub cztery dni w tygodniu podlegał karze, żył więc najwięcej z łaski kolegów i litościwych sąsiadek. Ale żeby płakał kiedy? Nigdy.

Szczęśliwa natura jego wyrobiła mu wybitne stanowisko w klasie. Ponurą nudę nieskończonego czytania i rachunków umiał tak ożywić, jak nikt inny.

Plagą był nauczycieli.

Od niego wychodziła wszelka swawola, jego zeszyty błyszczały olbrzymiemi plamami i były rzadkim zbiorem błędów ortograficznych. Specjalnym swoim wynalazkiem dziwne kształty nadawał literom, a podczas największego spokoju potrafił powszechną uwagę skierować na swą osobę.

Żadna kara nie pomogła.

Jeżeli musiał do szóstej godziny siedzieć, śmiał się tak zadowolony o szóstej, jakby to dopiero czwarta była, a gdy w południe został zatrzymany i o dwunastej nauczyciel przyniósł mu bochenek chleba, Rudek nie posiadał się z radości. Chleb na obiad! Luksus nie lada, nie trafia mu się to codziennie!

— Za taką cenę gotów jestem siedzieć każdego dnia — oświadczył nauczycielowi.

Tak więc Rudek stał się wzorem i odstraszającym przykładem uosobionej niegodziwości. Najdosadniejszą karą dla matek było porównanie synka z Rudkiem kamieniarza.

Nadeszła zima, i stosunki Rudka znacznie się pogorszyły. Mimo to oczka jego i zmarznięta twarzyczka wyglądały tak, jakby w sercu ich właściciela promień szczęścia przyświecał.

W taki dzień mroźny Rudek, przyszedłszy do domu o czwartej godzinie, zastał macochę śpiącą.

Zastanowiło go to jednak, że leży tak spokojnie, podczas gdy zwykle nawet we śnie świszczący oddech dobywał się jej przez wargi.

Przywołał sąsiadkę przelękniony.

Ta przestraszyła się śmiertelnie, przystąpiwszy do łóżka. Kamieniarka spała snem wiecznym.

Rudkowi dziwnie się zrobiło. Nie widział tego jeszcze. Ale wkrótce się opanował. Uśmiechnął się. Myśl, że „matka" bić go już nie będzie i na długie dni postu nie skarze, nastroiła go wesoło. Roześmiał się, lecz chociaż tylko po cichutku, sąsiadka mimo przerażenia nie mogła się powstrzymać:

— A ty, chłopcze bez serca, ty nicponiu, ty ładaco, ty urwisie! — wołała, wyrzucając go za drzwi, poczem napełniła cały dom wrzaskiem i zawodzeniem nad zmarłą i niegodziwym chłopcem.

Wieczorem wyniesiono zwłoki, a ponieważ kamieniarz nie dbał o nic i o nikogo, Rudek pozostał sam.

Cieszyło go to niepomiernie.

Była właśnie wigilja Bożego Narodzenia.

Chciał wyjść na ulicę, popatrzeć na oświecone okna, gdzie Dzieciątko Jezus przychodzi. U niego nigdy nie było, bo taki zły jest!

Gdy już przeszedł kilka kroków, przywołał go pan Lechner z pierwszego piętra.

Rudek zbliżył się. Pan Lechner zaprowadził go do mieszkania.

— Masz go? — spytała pani.

— Oto jest — odparł mąż.

Rudek wszedł do pokoju. Jakże tam pięknie, jak ciepło było! Jacy szczęśliwi ludzie są na świecie! Zdawało mu się, że śni.

Pan Lechner kazał mu usiąść, a Frania kucharka przyniosła filiżankę kawy i dwa rogaliki. Nie omieszkała, oczywiście, obrzucić go zjadliwem wejrzeniem.

Ale Rudek roześmiał się.

Pan Lechner opowiadał mu, że dziś Dzieciątko Jezus schodzi na ziemię.

Rudek znów śmiał się.

— Do mnie nie przyjdzie.

Wtem obok w pokoju ozwał się dzwonek. Pan Lechner wziął Rudka za rękę i wprowadził. W pokoju stało błyszczące drzewko. Rudek nigdy nie widział piękniejszego. Tyle złoconych jabłek, orzechów, zabawek. Stał, jak martwy. Dla kogoż to wszystko?

Rudek Lechner umarł na wiosnę.

— Dla ciebie, Rudka Kamieniarza! — oznajmił pan Lechner.

Rudek nie mógł zrozumieć. Dla niego? Nie uwierzył.

Ale gdy pani Lechner podała mu pudełko i śliczną czapkę włożyła na głowę, Rudek zapłakał.

Płakał! Biednemu dziecku serce omal nie pękło z radości. Tle szczęścia! tyle szczęścia naraz!

A państwo Lechnerowie podali sobie ręce z błogim uśmiechem. Rudek Lechner w niebie jest teraz szczęśliwszy niemniej, niż Rudek Kamieniarz na ziemi!

WITOLD PŁASZKIEWICZ

Wiersz do słońca i partyjnych leaderów

Szliśmy — było gorąco, i upał ściekał, jak wosk,
lany w przeddzień świętego Andrzeja. Chmura trosk,
rozpylona w pożarze słońca, znikła precz z czoła
i przylgnęła do skały rozbestwiona i goła —

a piasek popielaty i fioletowy żwir
brał nasze ciała młode w swój roztańczony wir.
Za nami został w dali wielkomiejski krzyk i gwar —
o brzeg pluskały fale, i spływał złoty żar,

bo niebo się rozwarło i kipiał odmęt ciszy.
Tu nikt nas nie zobaczy i nikt nas nie usłyszy,
więc wziąłem cię w ramiona, na ręce wziąłem drżącą
i niosłem w znojny wieczór, w upalnych śnień gorąco.

A w zadymionej kuźni partyjni leaderzy mówili:
— Żelazo tych słów w szary tłum uderzy,
porwie tysiące, w piersiach rozpali nowe błyski,
a nam da siłę, rozrost i da nam nowe zyski!

Pisali wciąż odezwy, i pot im spływał z twarzy.
Na stołach popielniczki, cygara, kałamarze
i jakaś podła nuda, wplątana w arkusz zmięty,
chichotem swym drażniła, licząc od stu procenty.

Chrzęst maszyn, charkot pasów i pracowników plecy
zgięta nad afiszami — partja wzywa na wiecy!
i skurcz przebiega ciała... Ulotki i broszury
sypią się z mknących aut w uliczny cień ponury.

— I któż — mówili — naszym odezwom nie uwierzy: —
tam w zadymionej kuźni partyjni leaderzy.
A ja cię niosłem wtedy przez ciemny las pachnący,
i była cisza wokół, i wieczór był gorący,

i tylko w dali, w dali szumiały młode sosny
swój hymn pokorny, łzawy o przyjściu wonnej wiosny...
Szumiały tak zupełnie, jak szumią pszczoły w ulu,
i śmiałem się do ciebie choć serce łkało z bólu...

STEFAN ŁUBIEŃSKI

Baśnie starojapońskie

Dynia obfitości i kara za złości

Zdarzyło się, rankiem, rozsunąwszy „amado“ *) żona „komei“ **) spostrzegła ziębę, pobitą przez złe dzieci, leżącą na ziemi z połamanemi skrzydłami. Wzięła ją, ogrzała, wyleczyła.

Odlatując, zdrowy już ptak przyniósł kobiecinie w dziobku ziarnko dyni, które był gdzieś znalazł. Dobra kuma przyjęła wdzięcznie ono ziarnko i zasadziła na zagonie przed domem.

Jesienią wyrosła z niego dynia olbrzymich rozmiarów, a w środku — cud cudów — same ziarnka ryżu. Ziarnka one były niewyczerpane. Wyjmując je po garstce z wnętrza dyni, litościwa niewiasta, jej dzieci i rodzina mogli, spożywając ryż ten, żyć bez trudu i troski.

Sąsiadka, widząc, że dynia daje niewyczerpane szczęście rodzinie komei, dowiedziawszy się chytrze o przyczynie czaru, złapała ziębę, ułamała jej skrzydła, poraniła, utytłała w błocie i, rzuciwszy przed dom na ziemię, wzięła ją następnie ostrożnie do izby, odchuchała i wyleczyła.

Miesiąc potem ozdrowiona zięba, odlatując, przyniosła babie tej — a jakże — ziarnko dyni, które gdzieś złowiła.

Przemyślna kumoszka wzięła to ziarnko, posadziła w ogrodzie na zagonie.

Gdy dynia urosła i należycie dojrzała, rozkrajano ją i — o dziwy — we środku gnoiło się robactwo, obrzydliwe, kosmate i zjadliwe. Rozeszło się po sadzie i po domu.

Robactwo było niewyczerpane, zjadło niebawem zawistną kobietę wraz z całą jej rodziną.

Tak czyny nasze i myśli ziarno swoje z sobą niosą.

*) okiennice japońskie.
**) handlarz ryżu.

Co jednemu ujęli drugiemu przypięli

Pewien drwal, krzepki dziadowina, włóczył się po lesie, aż go zmrok nocny pod szerokobarczystem drzewem — do snu zapraszając — zaskoczył. Nasz chwat, nie wiele myśląc, wcisnął głowę pomiędzy korzenie, a że wielką miał na prawym policzku brodawkę, która nawet podczas snu mu dokuczała, na lewym boku się ułożył i twardo zasnął.

Aż tu, o północy, budzą go ryki jakoweś i wybryki, piski i błyski, grzmoty, tupoty. Zerwał się na równe (powiedzmy) nogi nasz staruszek, i... dech mu zamarł z przerażenia: dwudziestu tęgich czartów, rudych i kudłatych, pląs wiodło piekielny.

Ale że przemyślny był drwalina — pomny starego przysłowia, że „kto między wrony się wdusi, jak one, krakać musi“ — więc, nie wiele rozumując, wierzchni zrzuciwszy przyodziewek, wszczyna tańce, podskoki, przyśpiewki a przydreptywania, aż przystanęły biesy koślawe w podziwie zręczności tak dziarskiego tancerza.

O świtaniu boruciane plemię nie mogło już dłużej rej w lesie wodzić i, chcąc sobie znowu zapewnić podobną pocieszną zabawę, na noc następną zaprosili dziadka. Na to jednak by zmusić go do powrotu (trudno zawierzyć człowiekowi) postanowili zatrzymać sobie jakąś cenną jego posiadłość, jako zakład. Po rozmyśle orzekli zgodnie, że wielka, sino-krwista brodawka jest najrzadszym i najdroższym klejnotem lubego tancerza. Szatańskiem czarodziejskiem zaklęciem zdjęli ją bezboleśnie z prawego policzka drwala, który obudziwszy się (gdyż zasnął był z nadmiaru wrażeń) powrócił do domu radosny, z twarzą odmłodzoną.

Zwiedzieli się o niebywałym cudzie mili sąsiadkowie, a jeden staruszek z przeciwka — obdarzony także przez los potężną brodawką (na policzku lewym) — usłyszawszy od naszego drwala szczegóły wyzbycia się skazy na twarzy i o miejscu w lesie, gdzie się to przydarzyło, udał się do czarodziejskiego boru i zasnął pod tym samem wielkiem drzewem, by widzieć taniec biesów.

I jako też: niebawem z trzaskiem i chrzęstem wysypało się z pólkorca djabłów w podrygach i skocznych wywijasach.

Pomny wskazówek drwala-sąsiada, wstał, jak mógł najraźniej, nasz staruszek drugi, obdarzony brodawką uroczą na lewym pól-liczku, i, zrzuciwszy wierzchni „hanten“*, zaczął pląsać i dreptać, mając nadzieję, że zręcznością swoją zwróci uwagę czarnych piekielników. Ale że kości mu skrzypiały, jak pień starej wierzby, a członki sztywne były i nieruchome, pusty śmiech tylko zatrząsł brzuchami belzebubów. Chcąc się pozbyć natręta, przylepili mu, niby mularz kielnią, jednym rzutem zwinnej dłoni na prawym policzku brodawkę, wziętą, jako zakład, od pierwszego drwala.

Tak to zawistny, zbyt przemyślny starowina wrócił do domu... z dwoma brodawkami miast jednej.

Co jednemu ujęli, drugiemu przypięli.

*) Krótkie kimono japońskiego robotnika.

Jeden z największych wybuchów świata



Wybuch prochowni w Krakowie, który tak smutnem echem obiegł kraj cały, w słabej tylko mierze przypomina największy tego rodzaju wypadek, którego świadkiem nie jeden z czytelników zapewne był za czasów przymusowego wygnania w Rosji w 1918 roku: wybuch składów amunicyjnych w Kijowie.

Udało się nam otrzymać niezmiernie interesujące zdjęcie, dokonane przez lotników niemieckich okupacyjnego korpusu na Ukrainie. Zdjęcie to nawet spowodowało tragiczny wypadek, jeden bowiem z trzech aparatów, wysłany w tym celu, ogarnięty został siłą eksplozji, tak nawet iż szczątków samolotu i nieszczęsnego pilota nie można było się doszukać.

Wybuchy rozpoczęły się o godz. 10 rano w dniu 10 maj w składach amunicyjnych na Zwierzyńcu, oddalonych o 6 do 7 kilometrów od centrum miasta. Wybuchło zrazu 4 wagony pyroksyliny (około 8.000 kilo). Wysokość słupa ognia i dymu dosięgała z górą 2000 metrów. Wybuch ten wywołał dalsze eksplozje detonujących substacyj, a te spowodowały pożar, który ogarnął składy amunicyjne. Nadmienić tu należy, iż Kijów w owym czasie posiadał składy, przeznaczone dla czterech armij na południowo-zachodnim froncie, które silnie wzmocnione zostały w przewidywaniu ofensywy, planowanej na miesiące letnie 1917 roku, lecz zamierzenia te wskutek wypadków rewolucji zostały udaremnione.

Jak wielkie niebezpieczeństwo zagrażało miastu, świadczy iż o 4 kilometry od miejsca wypadku znajdowały się składy, zawierające przeszło 400.000 kg. substancyj detonujących. Gdyby nie energiczna postawa wojska niemieckiego, które szybko zapobiegło rozszerzeniu się wybuchów, całe miasto z pewnością byłoby legło w gruzach.

Ofiary w ludziach wyniosły 36 żołnierzy ze straży składów i około 1500 kobiet i dzieci, zamieszkałych za Zwierzynieckiem przedmieściu, gdzie lokowały się rodziny niezamożnych urzędników.

Wybuch kijowski zaliczyć należy do największych, które się zdarzyły w owym czasie, po nim dopiero wzmiankować można analogiczne wypadki w Odesie, Jarosławiu na Wołdze, Kazaniu i Lille.

Jest to jeszcze jedna wskazówka, aby składów amunicyjnych i prochowni nie umieszczać około miast.

To też nic dziwnego, iż rada miejska Krakowa wystąpiła z jak najenergiczniejszem żądaniem, aby prochownię w Witkowicach przeniesiono, do czego również skłaniają się nasze władze.

Z dziejów martyrologji polskiej

Kartki ze wspomnień osobistych



Grupa zesłańców Polaków we wsi Pokatieje na Syberji w odświętnych strojach. Siedzą: W. Paszkowski (pośrodku), St. Osmański (lewo) i A. Szadkowski (prawo). Stoją od lewej ku prawej: Targowski, Śliwiński, Hildt, Gabrych, Malinowski i Marciniak.



Taką była wiosna w Pokatiejach w roku 1913. Nikt z zesłańców nie przypuszczał, że wstrząśnie światem Wielka Wojna, która da im wolność. Zesłańcy, oznaczeni xx — to rok 1863; zesłańcy, oznaczeni x — to skazani na pobyt w Syberji z roku 1911



Sąsiedzkie odwiedziny zesłańców, zamieszkałych we wsi Chaudalskaja, przez zesłańców ze wsi Pokatieje, odległej o 25 wiorst. Wycieczka odbyła się przy 40—60 stopniach mrozu. Zdjęcie dokonane przed chatą — mieszkaniem fotografa St. Janeczka.

Ubrani „po zakonu“ wyruszyliśmy 28 sierpnia 1911 roku z Piotrkowa w drogę.

Para zgrzebnej bielizny, białe z surowego płótna drelichy, szary chałat z czarnym tuzem na plecach, onuce i „półbuciki“ oraz przepisowa czapka przyodziały ciała. Na plecach worek z całem wyposażeniem na nowe wolne życie, a na rękach para nowych, jak gdyby również na własność wydanych, kajdan, złączonych łańcuszkiem, zamkniętych na kłódkę, by ułatwiały „opiekunom“ czynności w przeciągu 17 dni na przestrzeni tego około 6000 wiorst ciągnącego się szlaku poprzedników.

Ruszono w drogę.

Odpoczynki niewielkie: w Warszawie 6 godzin, w Moskwie 2 dni ze wszystkiemi przyjemnościami „Butyrek“* czasu pokojowego, w Samarze 2 dni, w Czelabinsku 12 godzin i aż do Krasnojarska. Przeszło 20 rewizyj osobistych, sen pod ławkami lub w pozycji siedzącej, zmiany bielizny, przyjacielskie nauki czy nastawione do strzału karabiny uzupełniały urozmaicenia podróży. Ural stał się granicą, za której przekroczenie po raz pierwszy udzielano 4 lata t. zw. „katorgi“.

W Krasnojarsku odpoczynek 2 tygodniowy, by „władze“ mogły wyznaczyć odpowiednie nowe warunki życia.

Jeden ze śmiałków, przerażony i poruszony widokiem niedźwiadka na podwórzu więziennem i śniegiem dość obfitym w drugiej połowie września, pozwolił sobie prosić o cieplejszą odzież na dalszą drogę, a za to został zatrzymany dłużej, by następnie lepiej poznać umysł i serce „inspektora więziennego“. Otrzymał cieplejszą odzież, ale i podróż o 1500 wiorst dalej na północ w grudniu i styczniu, część piechotą, część sankami.

My w pięciu po 2-ch tygodniach zostaliśmy przesłani z Krasnojarska w okolice, dokąd tego roku przeznaczano zesłańców z całej Rosji, t. j. do Szałajewskiej wołosti.

Wolność — po więzieniu — przyjęliśmy jak dzieci, chwytając pełną piersią świeże odżywcze powietrze pól, lasów, a nawet tajgi Syberji.

---

*) Słynne więzienie w Moskwie.

Kolonja zesłańcza polska rychło wyodrębniła się, rozpoczynając żyć życiem grupy więcej zamkniętej i niezależnej od ogólnej organizacji zesłańczej. Nawet zerwane zostały stosunki z Rosjanami, jako całością, pragnącą narzucać swoje dyrektywy. Nastąpiło to na skutek stanowiska zesłańców - niepodległościowców, którzy jaśniej widzieli i rozumieli czynniki rządzące zesłaniem. Wkrótce okazało się, że Polacy mieli rację, ponieważ zesłanie w całości opanowali ludzie z pośród prowokatorów i zdrajców.

*

Życie na zesłaniu nie należało do zbyt przyjemnych.

Nadzór administracyjny i różnych władz stopniowo wzmagał się. Ze wsi, odległej od innych najmniej o 15—20 wiorst, bezkarnie nie wolno było wyruszyć. Wieś nad rzeką, pośród tajgi, zagród około 40. Włościanie — czałdoni, naogół bardzo biedni, potomkowie dawnych przestępców kryminalnych Rosji. Zesłańców we wsi było przeszło 20, przeważnie Polacy.

Stopniowo następowało osłabienie i rozbijanie tej aureoli, jaką zesłanie mieć chciało czy powinno. Braki materjalne i bardzo ciężkie warunki życia robiły swoje, sprzyjając raczej władzom w dążeniu do zupełnego zniszczenia i spaczenia tych ośrodków ruchu rewolucyjnego, jakiemi mogły być ogniska najżywszych elementów walki o wyzwolenie. Jednostki zdrowsze i silniejsze, więcej odporne i wytrawne, starały się naturalnie jak najrychlej wydostać z tych miejsc zagłady, które im przeznaczono.

*

Klimat aż nazbyt surowy, trudny wprost do zniesienia.

Zima ośmiomiesięczna. W pierwszych dniach października już przejeżdżałem sankami rzekę ½ klm. szerokości, a w maju śnieg jeszcze pokrywał ziemię. Mróz 30—40 R. i śnieg metrowej głębokości utrudniały wyjście poza wieś. Naprzykład w okresie 2 tygodni około Bożego Narodzenia 1912 r. mróz dochodził nawet do 55 R. Zainicjowana przeze mnie w tym czasie wycieczka do sąsiadów - zesłańców o 25 wiorst, jako koleżeńskie odwiedziny, była przez czałdonów uważana, że „Polaki — szalejut". Woda w chatach przez noc zmarzła w wiadrach i kadziach, i rano trzeba było ją odrąbywać na herbatę. Był wypadek, że stado jeleni w poszukiwaniu wody przybiegło do przerębli we wsi.

W lecie t. zw. „muszka" nieraz zaciemniała słońce, i życia bez „dymów", dziegciu oraz siatek (woalek) trudno było sobie wyobrazić. „Muszka" wżerała się w życie codzienne, szczególnie przykrą była przy gotowaniu pożywienia w lasach. Ilość komarów też bywała wprost niezwykła. Ciało pokrywało się ranami od ukąszeń. Upały w lecie wynosiły około 35 R.

Tylko bardzo silne jednostki mogły żyć przez czas dłuższy, zachowując coś nie coś z siebie i z tych nawyknień, jakie wywiozły z kraju.

*

Stosunek ludności tuziemczej był niby to przyjazny, jednak regulowany raczej siłą i ciągłą czujnością. Pod zdawkową przyjaźnią i uprzejmością, okazywaną szczególniej Polakom, kryło się więcej nienawiści, niż sympatji. Dawne zdanie starożyłów — czałdonów, że „ubit' posieleńca łuczsze biełki, bolsze polzy" (zabić zesłańca lepiej, niż wiewiórkę, korzystniej) oraz, że Polaki — miatieżniki i „na prostokwasze Warszawu prochlebali" (na siadłe mleko zjedli Warszawę), — nasi chłopcy w życiu codziennem łagodzili siłą swych pięści, a odświętnie w wypadkach ostrzejszych zajść utrzymywaliśmy poszanowanie dla siebie siłą swego uzbrojenia: determinacji i gotowości na wszelką ostateczność.

Zesłanie stopniowo zmniejszało się. Umożliwiano ucieczki jednostkom silniejszym czy źle widzianym przez władze. Asymilowano się czy godzono z warunkami życia. Powstawały organizacje nowe, mniej wyraźne dla oczu władz. Wyjeżdżano z miejsc osiedlenia i t. p.



Zesłaniec W. Paszkowski w stroju, w jakim deportowano na wygnanie. Zdjęcie wykonane w sierpniu 1911 roku dzięki nieuwadze eskorty w czasie dokonywania fotografij dla dowodów osobistych zesłańców

Środki dla podtrzymywania życia czerpano w początkach z kraju: od rodzin, od osób prywatnych, od organizacyj. Lecz całość tej pomocy była niewystarczająca na najskromniej nawet pojęte zabezpieczenie. A i pomoc ta po paru latach musiała zniknąć i ustała. Źródłem zarobkowania na miejscu, które starano się wykorzystać i wyzyskać, były roboty przy drogach, ich budowie i remoncie, ziemne i karczunek, handel, polowanie, rybołówstwo, zbiór orzechów cedrowych, eksploatacja lasu. Jednak wszystko to ze względu na warunki i pozbawienie praw nie mogło wystarczyć, by stworzyć skromne warunki wegetacji dla całości zesłania.

Dzięki zesłaniu podnosiła się zamożność i poziom umysłowy ludności miejscowej, a zesłańcy ubożeli moralnie i materjalnie, szczególniej ci, którzy posiadali przywileje czy starszeństwa czy kierownictwa w kolonjach.

W latach 1913—1914 władze znały już bardzo dobrze poszczególne jednostki i otoczyły je należytą siecią, aby ostatecznie unieszkodliwić. Wśród Rosjan powstali gospodarze-rolnicy, związani czy z „ochraną" czy z elementami kryminalnemi i korzystający z pomocy, płynącej z tych źródeł. Z drugiej strony i funkcjonarjusze arministracji ulegali wpływom zesłańców, stając się z dawnych satrapów „ludźmi nowymi". Polacy weszli poważnie na drogę ciężkiej znojnej pracy, poznawszy się z warunkami i przystosowawszy częściowo do nich, by... wrócić do Ojczyzny przy pierwszej sposobności.

By zachować choć szczątki swych wierzeń, trzeba było nadzwyczajnych sił, zdolności i samozaparcia.

*

Siła idei i wierzeń, które spokojnie pozwoliły znieść udręki więzienia i Sybiru, a które doprowadziły do wskrzeszenia Wolnej i Niepodległej, rokują i na przyszłość Chwałę i Potęgę...

*

I cześć, że... powstała, że... nie zginęła...

Jej przyszłość — naszą przyszłością być winna!

W. P.



Kondukt pogrzebowy ze zwłokami posła Wojkowa przed dworcem głównym, z którego ciało zostało odwiezione specjalnym pociągiem do granicy polsko-sowieckiej.



Dnia 9 czerwca ks. arcybiskup Ropp obchodził uroczyście 25-letnią rocznicę piastowania godności biskupiej. Sędziwy arcypasterz przyjmował życzenia przedstawicieli rządu, duchowieństwa i społeczeństwa. Obchód nosił charakter niezmiernie serdeczny, świadczący o tej powszechnej sympatji, jaką ks. arcybiskup Ropp zaskarbił sobie u ogółu i jako kapłan i jako wybitny działacz narodowy, prześladowany przez bolszewików. Zdjęcie przedstawia ks. arcybiskupa w otoczeniu gości.



Maska pośmiertna posła Wojkowa

Zabójca posła Wojkowa Borys Kowerda





Olbrzymie tłumy ludności Londynu witały entuzjastycznie bohatera lotu New-York — Paryż, kapitana Lindberga, w chwili gdy lądował na lotnisku w Croydon.

Plebiscyt „Ilustrowanego Tygodnika Polskiego"

Mój pogląd na nałóg palenia i picia

MYŚLI O PALENIU I PICIU

Gdy jaśniej czytać księgę, która nosi miano — Nasze Życie — widzimy, iż palenie i picie jest prawie nieodzownym w dobie obecnej dodatkiem istnienia Dużych Dzieci. Wyjątki tylko potwierdzają spostrzeżenie.

Nadużycie jednego czy drugiego przechodzi w chorobę jednostki i społeczną.

*

Alkohol nasz byłby zdrowiem, gdyby zyskał prawo wstępu do St. Zjednoczonych Ameryki północnej na wzór obiegu i popytu dolara u nas.

W. P.
Łódź

PALENIE I PICIE PRZEZ PRYZMAT HUMORU...

Kobiety, palcie!...

W dawnych czasach, kiedy damy chlubiły się warkoczami, opadającemi aż do ziemi równo z sukienką, papieros mógł być uważany za ekscentryczność.

Lecz cóż jest bardziej zmiennego, niż kobieta i moda. Właśnie ta moda. Dzisiejsza dama obcięła sobie włosy, a sukienkę pragnie podnieść do poziomu modnie kurtyzowanej główki. Dama jest bardzo systematyczną, systematycznie głodzi się, karminuje usteczka, podmalowuje oczy, pudruje nosek i systematycznie, aż do znudzenia pokazuje kolanka i... coś więcej, gdy usiądzie vis a vis w tramwaju.

Opierając się na tej systematyczności damy, można postawić wierny horoskop, że już w roku 1928 mężczyzna, chcąc zobaczyć damę w sukience, będzie musiał odbyć pielgrzymkę do antykwarni na Świętokrzyskiej.

Chłopczyca bez papierosa straciłaby swój klasyczny wdzięk kabaretowej diwy, byłaby czemś w rodzaju znanego geografa bez wąsów. To wprost nie do pomyślenia. Więc panie, palcie tytoń, chociaż to niewiele się różni, zdaniem dr. Breyera od zażywania morfiny.

Jeżeli chodzi o palącego mężczyznę, to w zupełności podzielam zdanie „niemodnej dziś" pani Sierpińskiej, która ma „czerstwą cerę i mieszka w Miłosnej.

Jeszcze jedna uwaga.

Palenie tytoniu w znacznej mierze przyczynia się do wywołania pogodnego nastroju i ukochania bliźnich.

Ile razy miałem przyjemność usiąść w przedziale „dla niepalących" i właśnie zapalić papierosa, zawsze ktoś mi zrobił awanturę, ktoś wezwał konduktora, ktoś nazwał, delikatnie mówiąc, bałwanem. Nie pomogło uciekanie się w takich wypadkach do starych kawałów w rodzaju znanej anegdotki: „Pijcie kakao Van Houten'a", i zawsze musiałem ulec egoizmowi niepalących.

A czy natomiast był kto świadkiem awantury w przedziale „dla palących", zrobionej o to, że ktoś z podróżnych nie palił papierosów?

Palaczki i palacze są bardziej grzeczni i bardziej tolerancyjni.

Ergo: Wiwat papieros!

*

Świat bez wódki i wina, to tak samo brzmi, jak „świat bez mężczyzn", albo, jeszcze gorzej, „świat bez kobiet"...

Dawniej, no jeszcze... gdy młodzieniec z wiśniowych usteczek dziewczyny spijał „miodu" słodycze, ale dziś, wykluczone!... Żadna z „szanujących się" kobiet nie pozwoli na pocałunek, nie dlatego, że... bo to przesąd!... ale dlatego. że. jeżeli ktoś stracił dwie godziny czasu na „zrobienie" sobie oka, to przecież... — więc cożby dziś pozostało mężczyźnie, gdyby nie wino, dziś, gdy karminowo się uśmiecha młodość, strojna w efekt szminki.

A przytem „pani" już po dwóch kieliszkach jest taka inna i robi rozkoszne głupstwa.

— Jestem pijana — szepcą umalowane usteczka, i pani wtedy pozwala na wiele, podobnie, jak na letnisku, gdy mąż „fujara" został w mieście.

Alkohol ułatwia serdeczne wyznania, gościnne przyjęcia i jest tańszy od paszportów zagranicznych.



Bez alkoholu Sokrates nie byłby mędrcem, Kopernik nie miałby pomnika, pani nie miałaby pretekstu, Makuszyński zacząłby pisać tragedje, Or-Ot zostałby szefem sztabu jeneralnego, a Czermański naczelnikiem pustego więzienia.

Można zwarjować! Co za wstrętny koszmar! Co robiłby artysta malarz, poeta, literat, wydawca i zecer? Z kalendarza wymazanoby sobotę. Skandal! Ogólne bankructwo!

Zyskałby na tem jedynie kto?

— Pan Żółtek!...

Witold Płaszkiewicz.
Warszawa

NIE WÓDKA — PRAWDĄ ŻYCIA!

Nieraz obserwowałem ludzi, przesiąkających siebie alkoholem czy nikotyną. Sąd mój o nich nie wypada dodatnio.

Jedni przyznają się do szkodliwości tych nałogów, lecz nie mogą ich zwalczyć, drudzy twierdzą, iż palenie i picie, o ile umiarkowane, to nie szkodzi, a są nawet i tacy, którzy dowodzą, iż zdrowiu to „pomaga".

— Wypiję, zapalę, wszystkie smutki precz idą ode mnie, a na duszy raźniej!...

Niestety, tylu jest takich, co uprawiają ten od indjan zapożyczony „sport" palenia, a już chyba od samego Belzebuba „sport" picia. I to ludzi wykształconych. A cóż dopiero mówić o ciemnym wieśniaku, który otacza się kłębami gryzącego dymu i chłonie gorzałczynę, by „rozgrzać się, nabrać humoru, odwagi i rozumu". Tak twierdzą...

Czy zdajemy sobie sprawę, jak wielu ludzi grzęźnie w bagnie obu tych nałogów, staczając się niejednokrotnie w bagno moralne?

Nie papieros żarzący się ma być naszą pochodnią i nie wódka rzeźwiącym napojem piękna i prawdy życia!

Zeus
Kresy Wschodnie

Przypisek Redakcji: Z przyjemnością notujemy słowa powyższe, tem więcej iż nadesłał je nam uczeń klasy 8-ej jednego z gimnazjów polskich na Kresach Wschodnich.



U Jana Kiepury

(Rozmowa z artystą)


Jan Kiepura, znakomity tenor polski

Triumf znakomitego naszego śpiewaka Jana Kiepury za granicą stał się jednocześnie propagandą artystyczną na rzecz Polski.

— Gdzie mogłem — twierdzi skromnie p. Kiepura, dzieląc się z nami swemi wrażeniami po powrocie do kraju — starałem się śpiewać po polsku i polskie utwory. W królewskiej operze Budapesztu całego „Fausta" śpiewałem po polsku, a po przedstawieniu Węgrzy wznosili okrzyki na cześć Polski. W Wiedniu na uroczystem przedstawieniu również po polsku śpiewałem „Fausta", a publiczność urządziła mi burzliwą owację. W Londynie w obecności 10.000 Anglików znaczną część programu śpiewałem po polsku, a koncertu tego przez radjo słuchało 4 miljony abonentów w samej Anglji. W Sztutgardzie do parotysięcznej publiczności śpiewałem po polsku „Halkę", a radjo roznosiło naszą polską operę na Niemcy, Czechosłowację, Austrję i Węgry, gdyż kraje te zakupiły mój koncert od Sztutgardu. Obecnie otrzymałem stamtąd listy z pierwszemi nutami „Halki".


Jan Kiepura w popisowej roli w operze „Rigoletto"

— Jak się pan czuje obecnie?

— Jestem człowiekiem szczęśliwym — oświadcza radośnie nasz znakomity artysta — gdyż po całym szeregu owacyj, jakich doznałem za granicą, najmilszem i najbliższem było mi to, co zgotowała mi Warszawa. Entuzjazm naszej polskiej publiczności jest mi zawsze najdroższy i był świetną odpowiedzią dla tych, co z niskich pobudek probowali szarpać dobre moje imię. Obecnie przyjmuję około 10 delegacyj dziennie na koncerty dobroczynne.

— A jakież wrażenia po dłuższej nieobytności w kraju?

— Lubimy biadać nad sobą i robić porównania na niekorzyść własną, a na korzyść zagranicy. Tymczasem tak nie jest. Twierdzę stanowczo, iż w wielu dziedzinach czy to urządzeń państwowych, czy publicznych, czy życia zbiorowego nie stoimy wcale gorzej od innych. Trzeba tylko patrzeć objektywnie i nie przesadzać. **Fm.**

Zespół orkiestrowy Sielskiego

Ambitny i sprężysty kapelmistrz orkiestr wojskowych i policyjnych wzorem lat ubiegłych zorganizował w tym roku imprezę koncertową w stolicy w Dolinie Szwajcarskiej.

Dyr. Sielski ma specjalny dar układania interesujących programów muzycznych, któreby w okresie letnim nie wymagały specjalnego napięcia umysłowego słuchaczów, a dawały możność miłego odpoczynku przy zadowoleniu duchowem.


Art. dram. Paweł Owerłło, którego 40-lecie pracy scenicznej obchodziliśmy niedawno przedstawieniem w teatrze Narodowym

Prócz produkcyj orkiestrowych impreza Sielskiego daje zwykle występy solowe pierwszorzędnych artystów: śpiewaków, skrzypków, czelistów i t. d.

Z teatrów stołecznych


„Różyczka" de Caillavet'a i de Flers'a, jaką wystawił ostatnio teatr Narodowy na jubileusz art. dram. Pawła Owerłły.

Na zdjęciu widzimy p. M. Frenkla w roli kardynała de Merance z p. Zaklicką w roli „Różyczki
(fot. J. Malarski)

Rozpowszechniajcie

„Ilustrowany Tygodnik Polski"

Rzeczy ciekawe



W Ameryce wynaleziono dla strażaków specjalne ubrania z azbestu, które pozwalają bez ryzyka poparzenia się cyrkulować wśród płomieni

* * *

Wdowa po pułkowniku francuskim, p. Simon, wynalazła nowy, niezwykle uproszczony sposób nauczania czytania i pisania, polegający na tem, że wszystkie litery alfabetu utworzone są z dwóch znaków: z kółka i linji prostej. W ten sposób litera O jest wyraźnem kołem, a — kołem z linją, T — składa się z dwóch linij, g — z dwóch kółek. Przy swoim systemie, p. Simon wyucza czytać i pisać w ciągu 20 godzin.

* * *

Książę Walji mianowany został rycerzem najwyższego orderu św. Patrick'a. Order ten ustanowił jeszcze w roku 1788 król Jerzy III. Kapitułę orderu stanowią: król, jako wielki mistrz i 22 rycerzy orderu. Ostatnio członkami orderu było, prócz króla, 16-tu rycerzy.

* * *

Triumfy Lindbergha i Chamberlaina nie dają spokoju ich konkurentom. Po nowe laury występują obecnie lotnicy francuscy, Coste i Rignot, zamierzając przelecieć bez lądowania przestrzeń Paryż—Czyta na Syberji, położonej nad jeziorem Bajkalskim. Dystans, wynoszący ogółem 7.200 klm., jest o 1000 klm. większy od dystansu Nowy Jork—Paryż, a lotnicy francuscy chcą go przebyć w czasie 33 godzin.



W jednym z berlińskich kabaretów popisuje się fenomen, wdychający w siebie 24 litrów... gazu palnego. Wydychanie gazu z powrotem z płuc odbywa się przez gumową rurkę, połączoną z kuchenką, zasilaną gazem z płuc fenomena. Ilość gazu wystarcza na ugotowanie śniadania dla kilku osób



Niemiecki malarz Theo Matejko namalował piękny obraz aktualnej treści na temat śmierci lotników francuskich Nungessera i Coli, którzy pierwsi porwali się na śmiały czyn pokonania przestworzy nad Atlantykiem i zginęli bez wieści. Obraz przedstawia olbrzymiego smoka przestworzy, który, otworzywszy potworną paszczę, gotuje się do połknięcia tej łupiny, jaką jest dla niego napowietrzny statek wraz z dwoma bohaterami. Obraz wywiera głebokie wrażenie

Świat naopak! Wszystko naodwrót!



OSTATNIE KRZYKI MODY

Z lewej strony widzimy ostatni krzyk mody w Ameryce...

Piękne panie tylko w takich strojach składają znajomym wizyty na popołudniowe herbatki.

Z prawej strony widzimy ostatni krzyk mody we Francji...

W spodniach, uszytych w kształcie spódnicy damskiej, przechadza się po bulwarach Paryża modny strojniś, murzyn, podpierając się laską, obszytą w lamparcią skórę.

A więc niedługo zamienimy się strojami. Panie będą nosiły spodnie, a my, rodzaj męski, spódnice.

Dobre i to, bo a nuż weszłyby w modę listki figowe, a tu tak zimno i deszcze...



Prof. Johnsen z Dueffeldorfu wynalazł specjalny przyrząd do odróżniania djamentów i brylantów od innych drogich kamieni, nprz. topazów i szafirów białych. Przyrząd ten, skonstruowany z szeregu zwierciadeł i soczewek, pozwala również stwierdzić wartość brylantu. Im brylant jest szlachetniejszy, tem obraz jego, odbity na matowej powierzchni, jest większy i wyraźniejszy, natomiast fałszywy brylant nie daje żadnego odbicia.

* * *

Pierwszy i jedyny w swoim rodzaju powstał w tych dniach w Anglji w Manchesterze klub — milczących kobiet. Członkiem klubu może być tylko kobieta, i oprócz obowiązku propagowania milczenia musi bezwarunkowo przepędzić w klubie conajmniej jedną godzinę dziennie, gdzie nie wolno jej wypowiedzieć ani jednego słowa. Za takie przewinienie klub nakłada wysokie kary pieniężne. Szczęśliwy Manchester...

* * *

Prasa sowiecka podaje niektóre odpowiedzi na ankietę, rozpisaną dla dzieci na temat. „Cobyś uczynił, gdybyś miał czapkę-niewidkę?..." Oto cztery charakterystyczne: „Zabiłbym angielskiego króla, a sam zająłbym jego tron", „Skradłbym dużo bielizny w sklepie konfekcji", „Skradłbym 15 flakonów perfum", „Dałabym się uwieść Harry Peelowi". Kwiatki te podają pisma sowieckie. Jest się czem chwalić!?

* * *

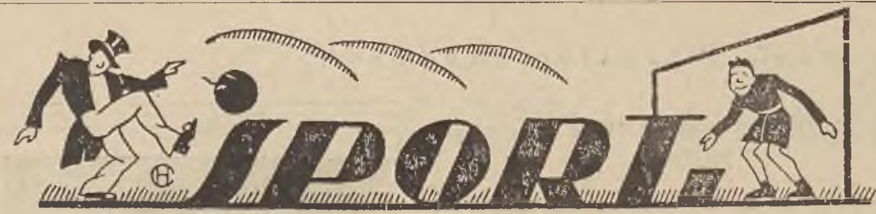
W roku 1491 podróż Kolumba do Ameryki trwała 1680 godzin. W tym roku, t. j. po 435 latach, podróż Lindbergha z Nowego Jorku do Europy trwała 33,5 godziny, czyli 50 razy krócej. Ileż w takim razie trwać będzie taka podróż za sto lat?

* * *

Pierwszą nagrodę na konkursie stenotypistek, jaki się odbył w Paryżu, otrzymała urzędniczka Ligi Narodów, pisząc 98 słów na minutę, czyli około 10 na sekundę.



Dnia 10 czerwca przybyła do Warszawy wycieczka czechosłowackich urzędników kolejowych, zwracając ogólną uwagę malowniczemi ubiorami pań czeskich, ubranych w narodowe stroje



Wystawa sportowa we Lwowie



Minister spraw wewnętrznych, gen. Sławoj-Składkowski otwiera wystawę sportową we Lwowie

A więc dzięki energji i sprężystości dyrekcji „Targów Wschodnich" mamy we Lwowie 1-szą ogólnopolską wystawę sportową.

Lwów rozsportował się... Niema dni i godziny, aby nie działo się coś sportowego. To piłka nożna, to szermierka, to popisy tennisowe, to skocznia, to bieżnia gromadzi zastępy widzów. Pochody przeciągają przez miasto. Kilkanaście tysięcy druhów i druhen z całej Polski, a wśród nich i delegacje z Ameryki, z Francji, z Gdańska i z czechosłowackiego sokolstwa w Pradze zjechało do Lwowa na jubileuszowe uroczystości Sokoła—Macierzy. W dniach od 4 do 6 czerwca barwne czerwone koszulki sokole roiły się wszędzie, wywierając mile i pociągające wrażenie swoim wdziękiem i liczbą.

Na Wystawie pierwszeństwo należy się niezaprzeczenie świetnie zorganizowanemu działowi łowieckiemu. „Psia wystawa" K. O. P. też wzbudza podziw wyjątkową tresurą swych wychowanków. Fotografje sportowa, gołębie pocztowe, wystawa samochodowa, radjowa i eksponaty przyborów sportowych — oto główna część objektów, składających się na całość niezmiernie interesującej Wystawy Sportowej.

VI Międzynarodowy Raid Samochodowy



Ze stolicy rozpoczął swą marszrutę VI Międzynarodowy Raid Samochodowy, który widzimy na ilustracji u startu na placu Saskim.

Pierwsze miejsce w ogólnej klasyfikacji zdobył p. Szwarcsztajn z Krakowskiego Automobilklubu na własnej maszynie marki „Austro-Daimler".

W konkurencji zespołowej „teamów" zwyciężyła trójka „Chryslerów" prowadzona przez P. Bitschana, inż. Hahna i p. Swobodę.



Tak wygląda niedziela nad Tamizą w Londynie. Sport wioślarski, żaglowy i pływacki uprawiane są gromadnie.





PRZED WYJAZDEM

Czytelniczki przed wyjazdem zechcą się pewnie zaopatrzyć we wszystko, coby mogło uprzyjemnić chwile współtowarzyszkom na letniej rewji zdrowia i mód.

Obcasy „Ludwik XV“ stanowczo wykreśla się z mody. Zastępuje je niewiadomo dlaczego tak zwany obcas „kubański“ (nie od Kubania, lecz od Cuby), drewniany, obszyty skórą. Wysokość 5 cm.

Zamiast jednego szalika aż trzy naokolo szyi w fantazyjnem zawiązaniu.

Złoto, masa złota: kolje i bransoletki, łańcuchy, klejnoty, imitujące starożytne.

Aby tylko nowy zakup zrobić — parasolka na bardzo cienkiej rączce.

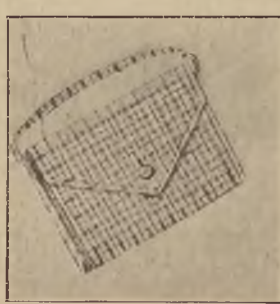
Słomkowy toczek o ściśle pasującej główce, otwarty nad brwiami.

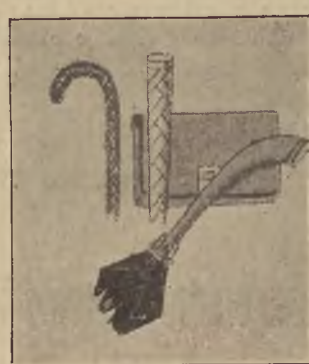
Kapelusze z rondami nosi się „a la cabaliero“, fantazyjnie na bakier, koniecznie na prawą stronę.

Woreczki z samodziału, z angielska zwanego „tweedem“, w wielkie kraty z podszyciem skórkowem, lamowane skórą i zamknięte guziczkiem o prostych formach.

Jeśli jest kasyno, naturalnie z dancingiem, modnie ubierają wieczorowe suknie sztuczne kwiaty.







5) Z naszych wycieczek letnich



Ratusz w Wejherowie



Bolesław Lipski, starosta wejherowski

Wejherowo

Zawędrowaliśmy zkolei do Wejherowa... Stary to gród pomorski, bo założony w roku 1645 przez Jakóba Wejhera, ówczesnego wojewodę malborskiego, którego prochy spoczywają w podziemiach kościoła poklasztornego.

— W roku 1875 — opowiada nam uprzejmie zasłużony działacz społeczny, burmistrz wejherowski, p Władysław Kurczyński — władza pruska rozwiązała zakon O.O. Reformatów, kościół oddała wiernym, zaś gmach klasztorny miasta na szkołę ludową, która dotąd się tu mieści.

Miasto liczy 12.000 ludności, w czem 10.000 Polaków. Posiada państwowe gimnazjum humanistyczne, państwowe seminarjum nauczycielskie, przedszkole państwowe, szkołę wydziałową, szkoły dla głuchoniemych, szkołę ludową, 2-klasową szkołę handlową, państwową szkołę rolniczą i gimnazjum niemieckie. W Wejherowie mamy również krajowe zakłady opieki społecznej.

Dzięki dbałości władz municypalnych miasto prezentuje się nad wyraz mile, czysto i po zachodnio-europejsku. Ma własną kanalizację, wodociągi, gazownię, elektrownię, rzeźnię i wogóle jest zasobne, gdyż posiada w swoim majątku około 2 miljonów złotych. Nie szczędzi grosza na dalsze celowe i potrzebne inwestycje.

Filja Banku Polskiego, Bank Kaszubski, Powiatowa Kasa Oszczędności, Miejska Kasa Oszczędności, 4 duże tartaki, sporo ośrodków drobnego handlu — wszystko to czyni z Wejherowa ruchliwy punkt życia zbiorowego na Pomorzu.

*

W godzinach pozabiurowych przyjmuje nas powszechnie szanowany starosta powiatu wejherowskiego, p. Bolesław Lipski, za ofiarną i bohaterską służbę na rzecz Ojczyzny udekorowany orderem „virtuti militari".

— Powiat mój — opowiada nam łaskawie p. starosta — liczy 40.000 ludności, wczem 80 procent ludności polskiej. Stan zdrowotny powiatu bardzo dobry. Stan dróg również, a mamy ich 200 kilometrów. Z urzędu jestem przewodniczącym wydziału powiatowego i sejmiku, i stwierdzić mogę, iż oba te ciała publiczne składają się z obywateli, rozumiejących dobro państwa i ludności, to też nie utykamy po grudzie, a idziemy naprzód...

Starosta wejherowski, p. Bolesław Lipski, to krew z krwi i kość z kości pomorzanin, zrodzony i wychowany na Pomorzu. To też z prawdziwem wzruszeniem notujemy piękne jego słowa, któremi zakończył swoją z nami rozmowę:

— Jako syn ziemi kaszubskiej oświadczam, iż Ojczyznę kochamy i w razie potrzeby potrafimy stworzyć zwarty i jednolity front!



Władysław Kruczyński, burmistrz Wejherowa

Wydawca: Polskie Biuro Wydawnicze. Redaktor: *Eugenjusz Rafalski.*

Zakłady Graficzne „Polska Zjednoczona", Warszawa, Nowolipie 2.

Jak Dyndała nasz na plaży znalazł damę gładkiej twarzy...

Historja 10-a



Kiedy żarem kapie słońce
i nastają dnie gorące,
każdemu się wtedy marzy
choćby skrawek morskiej plaży —
więc Dyndała, że miał na to,
chciał na Helu spędzić lato...



I oto jest już nad morzem,
nad piasczystem polskiem łożem,
gdzie mężczyźni i podwiki
leżą niczem nieboszczyki —
lecz parasol zabrał także,
deszcze wciąż padają wszakże.



Grzmot... błysnęło... i już leje,
takie to już zwykłe dzieje,
że dzień jeden słońce świeci,
a przez tydzień woda leci,
więc Dyndała oczy mruży,
jakiej damie się przysłużyć



— Piękna pani czy pozwoli
pod parasol w tej niedoli? —
rzekł Dyndała słodkim głosem,
wdzięcząc się swym długim nosem...
I odmówić mu nie chciała,
zwłaszcza że, jak z cebra lało...



Odtąd już i przy pogodzie,
chodzili ze sobą w zgodzie,
on ją trzymał w pół. jak dziecko,
z miną wdzięczną i zdradziecką,
ona w księżyc spoglądała,
pragnął szaleć nasz Dyndała...



— Hej, do Zoppot, do kasyna,
wino, karty, śpiew, dziewczyna,
trochę tańca i radości,
niechaj żyje czar młodości! —
tak jej prawi wciąż do ucha,
rybak śmieje się i słucha...